

# Klucz do miasta

Ciechanów 2023

## Autorzy tekstów:

- **Justyna Domańska** – pracownik Pracowni Dokumentacji Dziejów Miasta, działającej w strukturach Urzędu Miasta Ciechanów.
- **Dariusz Piotrowicz** – nauczyciel w Szkole Podstawowej nr 3 w Działdowie i Zespole Szkół Zawodowych nr 1 w Działdowie, historykiem. Zajmuje się dziejami ruchu ludowego, Działdowszczyzny i powiatu ciechanowskiego.
- **Dariusz Węclawski** (teksty opublikowane pośmiertnie) – prezes Towarzystwa Twórców Trzeciego Tysiąclecia, wiceprezes Związku Literatów na Mazowszu, były urzędnik i radny miejski.
- **Janusz Zalewski** – ciechanowianin, profesor inżynierii oprogramowania, nauczyciel akademicki, eseista, tłumacz z jęz. angielskiego.
- **Stefan Żagiel** (teksty opublikowane pośmiertnie) – inżynier chemik, dziennikarz, publicysta, literat.

## Wydawca:

Urząd Miasta Ciechanów  
pl. Jana Pawła II 6,  
06-400 Ciechanów  
ISSN 2956-9087

## Redakcja:

Pracownia Dokumentacji Dziejów Miasta  
ul. Warszawska 18  
tel. 23 674 92 82  
e-mail: [pracowniaddm@umciechanow.pl](mailto:pracowniaddm@umciechanow.pl)

## Opracowanie graficzne, skład i druk:

Drukarz Sp.j.  
ul. Towarowa 2,  
06-400 Ciechanów  
tel. [+48 23 672 71 12](tel:+48236727112)  
[www.drukarz.net.pl](http://www.drukarz.net.pl)

## Spis treści

Od Redakcji.....	3
<i>Justyna Domańska</i> Zciechanowskiego piszą nam.....	5
<i>Dariusz Piotrowicz</i> Handel w Ciechanowie – ulica Warszawska.....	9
<i>Janusz Zalewski</i> Ciechanowska Galeria Wspomnień Młyn przy Nadrzecznej – wspomnienie z dzieciństwa .....	14
<i>Dariusz Węclawski</i> Ciechanowianie w KL Soldau .....	18
<i>Dariusz Węclawski</i> Stefan Szyller – zapomniany aranżer i designer ciechanowskiej fary.....	27
Stefan Żagiel Bohaterowie naszych ulic Jarosław Dąbrowski – powstaniec i komunard.....	31

## Od Redakcji

Szanowni Mieszkańcy,  
„Klucz do miasta” cieszy się niesłabnącą popularnością. Nie tylko wśród czytelników, ale i miłośników historii Ciechanowa, którzy chętnie dzielą się swoją wiedzą i potencjałem z redakcją. Niestety w bardzo krótkim czasie pożegnaliśmy dwóch wyjątkowych współtwórców „Klucza...”.

Dariusz Węclawski był poetą, eseistą, animatorem kultury i społecznikiem. Należał do Związku Literatów na Mazowszu, pełnił w nim funkcję wiceprezesa. Angażował się także w działalność polityczną i samorządową. Pełnił m.in. funkcję sekretarza miasta w tutejszym Urzędzie. Za swoją działalność twórczą i społeczną otrzymał odznakę honorową ministra kultury „Zasłużony dla Kultury Polskiej”, a w 2017 roku otrzymał „Medal za Zasługi dla Ciechanowa”. Jego ostatnią książką był reportaż „Ciechanów Ukrainie” zawierający poruszające wywiady z ukraińskimi uchodźcami, którzy znaleźli schronienie w naszym mieście.

1 lipca 2023 roku odszedł także Stefan Żagiel. Choć urodził się w Krzczonowie koło Lublina, to właśnie z Ciechanowem związał swoją przyszłość. Dziennikarz i literat z dorobkiem 18 zbiorów wierszy. Promował młodych poetów, wspierał rozwój środowiska literackiego Ciechanowa. Przez 17 lat był organizatorem Ogólnopolskiego Konkursu Poezji "O Złoty Klucz Ciechanowskiego Ratusza". Angażował się społecznie, pełnił też funkcję radnego w Radzie Miasta. Do końca wspierał działalność Pracowni Dokumentacji Dziejów Miasta.

Obaj zapisali się w pamięci wszystkich tych, którzy mieli szczęście ich poznać jako otwarci i życzliwi ludzie, społecznicy o wielkim sercu oraz utalentowani poeci o szerokich horyzontach. Ich odejście jest niepowetowaną stratą dla mieszkańców Ciechanowa.

W najnowszym numerze "Klucza do miasta", mają Państwo okazję zapoznać się z jednymi z ostatnich opracowanych przez nich artykułami oraz wierszami.

Krzysztof Kosiński  
Prezydent Ciechanowa

## Z ciechanowskiego piszą nam...

Korrespondent Płocki z dnia 3 (15) lutego 1887, nr 13 donosił:

**Z Ciechanowa piszą do nas:** Towarzystwo miasta Ciechanowa postanowiło zacząć rok nowy dobrym czynem wskutek czego 13 stycznia dane było z nadzwyczajnym powodzeniem przedstawienie amatorskie, składającego się z komedijek: „Kalosze”, „Prelegent”, „Zosia druchna”, „Stryj przyjechał”. Przychód z niego otrzymany w sumie rs. 215 kop 70 rozdzielony został w sposób następujący: rs. 57 na wpisy uczniów niezamożnych rodziców powiatu lub miasta Ciechanowa, a w braku tych, uczniów z rodzin najmniej zamożnych gubernii płockiej podług uznania redakcji Korespondenta Płockiego. Reszta zaś rs. 140 kop. 70, rozdane zostały ubogim m. Ciechanowa. Zysk ten zawdzięcza się dobrym chęciom amatorów i amatorów, również żywym współczuciu okolicznych ziemian.

Przyp. Red. Powyższą kwotę rs. 75, nadesłaną nam przez szanownego micyatora przedstawienia w tak szlachetnym celu podjętego, p. sędziego pokoju Karola Strahlborna, otrzymaliśmy dla użycia stosownie do jej przeznaczenia.

(przypis redakcji Klucza do Ciechanowa: rs. znaczy rubli; kop znaczy kopiejek)

*Kronika Ciechanowska („dwutygodnik regionalny”) z 18 stycznia 1931 roku  
wydawana pod red. Czesława Słońskiego donosiła w rubryce „Z życia organizacji”*

## Z miejscowego Oddziału Związku Obywatelskiej Pracy Kobiet

W dniach 13, 14, 15 i 16 grudnia r.b. w salach Banku Mieszczańsko-Rolniczego, staraniem miejscowego Oddziału Związku Obywatelskiego Pracy Kobiet odbył się doroczny kiermasz i zarazem wystawa robót kobiecych, w których znalazły miejsce następujące działy eksponatów: zabawkowy, kilimowy, haftów, upiększeń choinkowych i inne.

Wystawione eksponaty były wyrobu miejscowego, względnie nadesłane przez Centralę Związku w Warszawie.

## Z eksponatów wyrobu miejscowego szczególnie zasługiwały na uwagę:

- misternej roboty firanki p. J.,
- piękne hafty p. R.,
- perska w pomysłeniu i wykonaniu makata p. inż. K.,
- żywa i wdzięczna makatka z malwami p. dr-ej L.,
- hiszpańskie hafty Toledo p. Cz.
- I nade wszystko piękne, benedyktyńskiej wprost pracowitości serwety i obrusy p. dr-ej Sch.

Niemalą sensację budziły pomysłowe zabawki i upiększenia choinkowe wykonane przez dziatwę sierocą miejscowego schroniska, przy udziale jej zacnej kierowniczk.

Podkreślić należy wartość samej wystawy, utrzymanej na wysokim poziomie oraz znaczenie jej, jako poważnego środka ku rozbudzeniu kultury artystycznej w naszym mieście. – Szkoda tylko, że frekwencja nie była zbyt liczna.

Dom

Rosnący dom  
taki pierwszy wieżowiec  
piramida Ciechanowa  
kołysze wahadłem czasu  
nad głową pokoleń.

Juży chmury cerują  
przebity pułap nieba  
wstążką dziejów.

Sypie się próchno historii  
ulicy Warszawskiej.

Tylko Łydynia spogląda  
z dołu zazdrośnie  
myjąc okna gmachu  
w swoim lustrze  
po tym przycicha  
mrocznym łkaniem  
w roju świateł  
sen ją wiedzie w nocny opar  
by nad rankiem  
zerwać z ramion budowli  
zwój woalu.

A Ciechan, Ciechan dumny  
zakuty w zbroję  
spogląda ze wzgórza Farskiej  
winszując rękom  
za pracę  
jego mieszkańcom.

*Alfred Borkowski, „Obłok Ciechanowski”, wyd. Wojewódzki Dom Kultury, 1981.*

W kwietniowej Gazecie Samorządu Miasta Ciechanów z 2003 roku (nr 2/8)  
przeczytamy:

### **Sukces Polaków**

Ciechanów był miejscem turnieju eliminacyjnego do mistrzostw świata w piłce ręcznej męskich drużyn młodzieżowych. Na parkiecie w Szkole Podstawowej nr 3 zmierzyły się reprezentacje narodowe Gruzji, Francji i Polski. Gruzini okazali się najslabszym zespołem z tej trójki. Przegrali oba spotkania: z Francją 12:28 i Polską 16:33. O tym, kto awansuje do młodzieżowych mistrzostw świata, które odbędą się we wrześniu w Egipcie, zdecydować miał mecz Polska – Francja.

Kibice nie zawiedli. Licznie przybyli do hali przy ul. Powstańców Wielkopolskich. Dopingowali polski zespół ze wszystkich sił. Powiewające biało-czerwone flagi, chóralne skandowanie, dźwięk piszczałek i bębnow towarzyszyły zawodnikom od pierwszych minut meczu. Piłkarze również nie zawiedli.

Na 8 minut przed ostatnim gwizdkiem sędziów wynik brzmiał już 20:14 dla Polski. Końcówka również należała do naszej reprezentacji, która ostatecznie zwyciężyła 24:17. Radość z sukcesu była ogromna. Młodzi reprezentanci Polski tańczyli ze szczęścia, zaś kibice odśpiewali im sto lat.

Zawody w Ciechanowie obserwowali m.in.: Janusz Czerwiński – prezes Polskiego Związku Piłki Ręcznej oraz Andrzej Szczepanik – sekretarz generalny związku.

### **Andrzej Szczepanik udzielił wywiadu gazecie.**

- Dlaczego Ciechanów został wybrany na miejsce turnieju oraz zgrupowania kadry narodowej młodych szczypiornistów?
- Sukces cieszy. Ale czy ci młodzi szczypiorniści rokują nadzieję na powrót polskiej reprezentacji do czołówki światowej, w której niedługo była?
- O prawo zorganizowania zawodów Ciechanów rywalizował z Chojnicami. I tę rywalizację wygrał, gdyż złożył korzystniejszą ofertę. To po pierwsze. A po drugie dlatego, że chcemy popularyzować piłkę ręczną w różnych ośrodkach i między innymi poprzez takie zawody zachęcić młodych ludzi do uprawiania tej dyscypliny sportu. Do tego turnieju przywiązywaliśmy dużą wagę. Chcieliśmy więc, aby hala, w której będzie rozgrywany, była naszym zawodnikom znana, by poczuli się w niej rzeczywiście jak gospodarze. Dlatego przed eliminacjami kadra przebywała w Ciechanowie na zgrupowaniu.
- Takie są oczekiwania. Ci młodzi chłopcy już w tegorocznych eliminacjach do mistrzostw Europy wesprą drużynę seniorów. Trener Bogdan Kowalczyk będzie musiał skorzystać z reprezentacji młodzieżowej przy budowie zespołu seniorów. Między innymi dlatego, że w drużynie seniorów mamy do czynienia z buntem zawodników, którzy nie chcą ciężko pracować. A tylko taka praca jest podstawą sukcesu. Francuzi czy Holendrzy od nas uczyli się gry w piłkę ręczną, a teraz my w konfrontacji z nimi często przegrywamy. Z prostej przyczyny. Oni pracowali, my zaś zatrzymaliśmy się w miejscu.
- Czy w Ciechanowie zobaczymy jeszcze kadrę narodową szczypiornistów?
- Myślę, że tak. Ciechanów dobrze wywiązał się w roli organizatora turnieju, zaś hala okazała się szczęśliwa. Być może więc znowu tu przyjedziemy, by na przykład rozegrać jakieś spotkanie kontrolne w ramach przygotowań do mistrzostw w Egipcie.
- Dziękuję za rozmowę.

### Elektrownia miejska

Budowa elektrowni miejskiej rozpoczęła się 20 b.m. Mimo konkurencji firm zamiejscowych otrzymał koncesję na budowę p. Roszko i Wylazłowski. Sądzymy, że elektrownia będzie zbudowana w terminie wyznaczonym i według wymagań. Rada Miejska gwarantuje światło w listopadzie br.

*Tygodnik Mazowiecki rok 11, nr 20, 21 z dn. 24 sierpnia 1924 roku, s. 6.*

Drukarnia i introligatornia „Dźwignia” w Ciechanowie.

Przyjmuje wszelkie zamówienia  
w zakresie drukarstwa  
i introligatorstwa wchodzące.

Wykonanie estetyczne

Ceny niskie

*Tygodnik Mazowiecki rok 11 nr 31 z dn. 26 października 1924 roku, s. 8.*

Załącznik nr 7 do Zarządzenia Nr 6/85 Prezydenta Miasta Ciechanowa z dnia 22 października 1985 r.

**Czas pracy zakładów gastronomicznych pionów WSS „Społem” i WPT, GS:**

1. PSS Restauracja „Jurand”, ul. Warszawska, godz. 10.00-22.00  
– pracujące wszystkie soboty, niedziele i dni świąteczne
2. PSS Restauracja „Ratuszowa”, ul. Kilińskiego, godz. 10.00-22.00  
– pracujące wszystkie soboty, niedziele i dni świąteczne
3. PSS Kawiarnia „Jagienka”, ul. Strażacka, godz. 14.00-22.00,  
– pracujące wszystkie soboty, niedziele i dni świąteczne
4. PSS Bar „Expres”, ul. 17 Stycznia, godz. 9.00-19.00  
– wszystkie soboty
5. PSS Kawiarnia „Danuśka”, ul. Wyzwolenia, godz. 14.00-22.00  
– pracujące wszystkie soboty, niedziele i dni świąteczne
6. PSS Bufet PKP, ul. Sienkiewicza, godz. 6.00-22.00  
– pracujące wszystkie soboty, niedziele i dni świąteczne
7. PSS Bar „Sam”, ul. Sienkiewicza, godz. 8.00-16.00  
– pracujące wszystkie soboty, niedziele i dni świąteczne
8. PSS Punkt „Smakosz”, ul. Warszawska, godz. 8.00-16.00  
– pracujące wszystkie soboty, niedziele i dni świąteczne
9. PSS Pijalnia mleka, ul. Warszawska, godz. 6.00-17.00  
– pracujące wszystkie soboty, niedziele i dni świąteczne
10. PSS Bar „Agnieszka”, ul. Broniewskiego, godz. 9.00-17.00  
– pracujące wszystkie soboty, niedziele i dni świąteczne
11. GS mini bar, ul. Śmiecińska, godz. 8.00-16.00  
– pracujące wszystkie soboty, niedziele i dni świąteczne
12. WPT Restauracja „Polonia”, ul. Warszawska, godz. 7.00-22.00  
– wszystkie soboty, niedziele i dni świąteczne
13. NOT Klub Technika, ul. Pow. Warszawskich, godz. 12.00-19.00  
– pracujące wszystkie soboty, niedziele i dni świąteczne

W wolne soboty, niedziele i święta całodzienna sprzedaż mleka i pieczywa w restauracji „Jurand” i Bufet PKP pion PSS Ciechanów.



## Handel w Ciechanowie – ulica Warszawska

„Między koszarami a dworcem leżało to niewielkie miasto – zapisał we wspomnieniach ułan ciechanowskiego pułku Wiesław Mirecki – zabytkowe ruiny, rynek, jedna większa ulica”. Była to, łącząca Rynek z Placem Kościuszki, „ulica Warszawska, ciasno zabudowana od strony rynku wraz z przyległymi do niej ulicami, nędznymi domostwami żydowskimi. Dalej od ulicy Sierakowskiego ulica była »chrześcijańska«, domy były wyższe, bardziej nowoczesne”. Warszawska była, jak ją określił Nachman Hajfa Grossbard, „koroną miasta”.

Po odzyskaniu niepodległości Ciechanów pełnił funkcję lokalnego centrum gospodarczego.

### Znajdowały się w nim:

- mleczarnia,
- trzy młyny,
- browar,
- cukrownia
- i fabryka narzędzi rolniczych.

Ciechanów był jednak przede wszystkim ośrodkiem handlu zaspakajającym potrzeby miasta i okolicznych wsi.

### Handel

Pod koniec lat dwudziestych w mieście było około 240 sklepów. Najwięcej, bo aż 103 handlowały artykułami kolonialnymi i spożywczymi. Olbrzymia większość sklepów znajdowała się przy Rynku i ulicy Warszawskiej, która miała charakter wybitnie handlowy.

W roku 1929 w dziale tekstylno-ubraniowym na Warszawskiej było 40 sklepów i pracowni. Była to główna gałąź handlu. Ulica, którą przechodziło wiele osób, zwłaszcza kobiet, miała szczególne warunki, by stać się swoistym domem mody.

### ***Konfekcję damską i gotowe obuwie w Ciechanowie można było kupić tylko przy ulicy Warszawskiej u:***

- Franciszka Biczowa,
- D. Młynka,
- „w magazynie mód” Ch. Rabinowicza,
- Bronisława Woźniaka,
- M. Tyk i H. Kronenberg (nr 13).

Ubrania męskie polecała pracownia Ludwika Klickiego (nr 50). Z 5 sklepów, które handlowały gotowymi ubraniami 3 znajdowały się przy Warszawskiej. Gotowe ubrania sprzedawała również pracownia krawiecka O. Cichowskiego pod nr 44. W

jego domu swoją „pierwszorzędną pracownię kapeluszy damskich” prowadziła Zofia Bogusławska. Oferowała „najnowsze sezonowe i demi-sezonowe fasony kapeluszy”. Pod 55 „wszelkie obstalunki, w zakres krawiectwa wchodzące” przyjmował Zdzisław Peplowski.

Z 23 sklepów polecających galanterię aż 17 było przy Warszawskiej. Pod 5 galanterią handlował Mendel Klejnjud, a pod nr 32 Walentyna Jezierska galanterią i manufakturą. Sklep z manufakturą pod 17 prowadził Chawa Woller. Tu znajdowały się także zakłady fryzjerskie W. Mossakowskiego, N. Kozakiewicza i Antoniego Gortata, do odwiedzenia którego zachęcała reklama prasowa:

---

*„Wstąp na chwilę do Gortata. Wyjdiesz młodszy o trzy lata.  
Bo z Gortata – pół magika. Człek się zgolił i już fika”.*

---

Pod nr 52 znajdował się „pierwszorzędny zakład krawiecki Stanisława Cejmera” wykonujący „roboty pierwszorzędnie według najnowszych żurnali”. Natomiast pod nr 19 ubrania, palta i futra po cenach kryzysowych oraz „nowości sezonowe” polecał S. Rubinsztejn, w którego sklepie można było kupić za gotówkę lub na raty sukna, wełny, korty, jedwabie, kołdry i dywany.

## **Artykuły przemysłowe i rolne**

Przy Warszawskiej znajdowały się składy naczyń kuchennych (5) i maszyn do szycia, w tym oddział Singer Sewing Machine Company. Pod numerem 54 swoje przedstawicielstwo posiadała firma „Nasiona – nawozy – chemikalia firmy C. Ulrich – Warszawa”. Nasionami handlował również A. Dzierżęcki w sklepie pod numerem 42. W tym samym budynku znajdowała się „stara firma” W. Sokołowskiego – „Spójnia”. Pod nr 41 Nusem Caitak sprzedawał maszyny do szycia i rowery „Łuczniak”, a pod nr 39 mieścił się zakład wódek i likierów „Królewianka”.

## **Rzemiosło**

Przy Warszawskiej znajdowały się liczne zakłady rzemieślnicze. Fabrykę gilz miał J. Kalfusa, B. Romanowski zakład rymarski, a S. Szczepankowski pod nr 69 zakład tapicersko-rymarski. Pod 50, w podwórzu, znajdowała się wytwórnia mebli L. Rychliczka.

Meble oferował również Piotr Ostromecki. Portret fotograficzny można było obstałować pod nr 51, w zakładzie fotograficznym Władysława Brodowskiego. Przedsiębiorstwo pogrzebowe I. Czarneckiego znajdowało się pod nr 25, a konkurencyjny zakład pogrzebowy W. Urbanka ulokował się po przeciwnej stronie pod nr 24.

Manufaktury na Warszawskiej prowadzili: Jozef Bieżuner, R. Frydman, W. Jezierska i Chawa Wolter (nr 17). Rzemieślniczy charakter ulicy nadawali także: Z. Berenbaum, Józef Rajszer, Szlama Rajszer i Teodor Zakolski (nr 51) – zegarmistrzowie. Reparacji zegarków z dwuletnią gwarancją dokonywał pod nr 4 Dawid Goldsztejn, który również sprzedawał zegary, zegarki, biżuterię i galanterię.

Sklepów spożywczo-kolonialnych było 25. Prowadzili je m.in.: Rajzla Blum, Mendel Garfinkiel, Fajbusz Lichtensztein, Mordka Najahr. Sklep Edwarda Gogolewskiego znajdował się pod nr 36, a pod 39 sklep „Pod Złotym Gronem”. Należał do posła na Sejm Ustawodawczy i Sejm I kadencji Michała Wichlińskiego.

## **Handel hurtowy i spółdzielczość**

Niechętnie natomiast przy ulicy Warszawskiej lokował się handel hurtowy. Jedynie w domu przy Warszawskiej 15 hurtową sprzedażą tytoniu i soli zajmował się Roman Ropelewski.

Także spółdzielnie chętnie usadawiały się przy ulicy Warszawskiej. Z ulicy Mickiewicza na Warszawską przeniosło swoje biuro Towarzystwo Rolniczo-Handlowe „Rolnik”. Skupowało zboża, nasiona i ziemniaki „we wszelkich ilościach”. Spółdzielcza Centrala Handlowo-Rolnicza przy Warszawskiej 58 skupowała od chłopów zboże oferując w zamian narzędzia rolnicze, maszyny, węgiel, cement itp. oraz towary spożywczo-kolonialne.

Powiatowa Spółdzielnia Spożywcza Chrześcijańska pod nr 36 miała... sklep bławatny, w którym można było nabyć materiały bawełniane, lniane, wełniane i trykotaże.

Spółdzielnia Mleczarska pierwszy sklep nabiałowy otworzyła już w 1929 roku. Znajdował się pod nr 16. Oferował wszelkie wysokogatunkowe przetwory mleczarskie. Ignacy Gogolewski tak wspominał w nim zakupy:

---

*„Nie umiem dziś podać argumentów, ale kiedy wracałem ze sklepu mleczarskiego Babka zawsze chwaliła, że spisałem się tak jak trzeba. Była to przecież oczywista zasługa pań, które dbały o właściwie przeprowadzony zakup: mleka, maślanki czy chrupkich kajerek, na które czekam do dziś”.*

---

Stale świeże pieczywo można było kupić w piekarni A. Dzbańskiego, S. Ślesickiego i Powiatowej Spółdzielni Spożywczej Chrześcijańskiej. Mieściła się pod nr 56, a pod nr 54 Spółdzielnia miała owocarnię. Z istniejących w 1929 r. w mieście 5 owocarni aż 4 znajdowały się przy ulicy Warszawskiej. Szczególny charakter miała owocarnia Abrama Fiszermana, w której młodzież zbierała się na „rajskie wieczorki”.

## **Życie towarzyskie i rozrywkowe**

Życie towarzyskie i rozrywkowe Ciechanowa koncentrowało się w restauracjach i kawiarniach.

Pod numerem 46 lokal prowadził W. Żmijewski. Wydawał śniadania, obiady i kolacje „po cenach umiarkowanych”. Cukiernia „Mazowiecka” Józefa Kamińskiego polecała placki, babki, torty oraz herbatę i kawę „preparowane z pierwszorzędnych artykułów”. Cukiernia została otwarta 15 listopada 1931 r.

---

*„Kto ceni ciężko zapracowany grosz,  
winien być stałym gościem Kawiarni „Zacisze” J. Grudzińskiej  
– przekonywała inserata prasowa.*

---

W kawiarni dostępne były gry towarzyskie.

„Delikatesy pierwszorzędných firm” i wino polecała jedyna piwiarnia na Warszawskiej (nr 58). Należała do Sz. Klenieca.

Ponadto przy Warszawskiej znajdowały się restauracje: Karol Borzuchowski prowadził „restaurację z wyszynkiem trunków alkoholowych” przy Warszawskiej 54, A. Chojnowskiej, W. Rybińskiego i Ignacego Wyzińskiego.

Najbardziej elegancka restauracja i cukiernia mieściła się pod numerem 39 w hotelu „Polonia” W. Jezierskiego. W restauracji można było spożyć posiłek „niedrogo a smacznie”. W nowoczesna cukiernia, w której wieczorami zbierali się „amatorzy kawy i ciastek”, stała się miejscem, w którym żywo omawiano ciechanowskie wydarzenia. Pobyt uprzyjemniała „mechaniczna orkiestra” i bilard. Można było skorzystać z gabinetu. Hotel zapewniał nocleg w „czystym i wygodnym numerze”.

Również „Hotel Polski” prowadzony przez Zuzannę Czarnecka znajdował się przy Warszawskiej.

### **Księgarnie i materiały piśmiennicze**

Rwetes i hałas ulicy nie sprzyjały życiu umysłowemu, które omijało tę handlową ulicę, mimo że znajdowały się przy niej księgarnie: L. Hendla i „Wiedza” A. Świdorskiej, a pod nr 31 – „najtańsze źródło materiałów piśmiennych – księgarnia „Świt”. Przedsiębiorstwo rozpoczęło działalność 28 sierpnia 1929 roku. Zarząd spółki tworzyli Faiga Górna i Matus Krubiner. Wielki wybór materiałów piśmiennych, biurowych i szkolnych polecał skład T. Ranieckiego i J. Baranowskiego pod nr 34.

### **Na Warszawskiej ulokowały się też banki**

30 listopada 1922 roku został zarejestrowany Bank Spółdzielczy Mieszczańsko-Rolniczy. Prezesem był Jan Reutt, a dyrektorem Jerzy Olszewski. W 1926 roku Bank przeniósł się z Kościelnej nr 1 do własnej siedziby przy Warszawskiej 61. Obok wzniesiono jednopiętrową oficynę i pawilon sklepowy. Placówka prowadziła rachunki złotówkowe i dolarowe. Rolnicy oczekiwali od Banku kredytu długoterminowego, ale takiego nie udzielał.

Kredytem średnioterminowym próbował pozyskać rolników Zjednoczony Bank Ziemiański. Dyrektorem oddziału w Ciechanowie, mieszczącego się przy Warszawskiej 67, był Stanisław Boryta. Bank zapewniał, że kapitał złożony w nim nie podlega kontroli skarbowej, a czynności objęte są ścisłą tajemnicą bankową.

W 1929 roku uruchomiona została Komunalna Kasa Oszczędności powiatu ciechanowskiego. Początkowo mieściła się w domu Śmietanków, a następnie została przeniesiona do kamienicy Prusinowskiego oczywiście przy ulicy Warszawskiej.

## **Dogodne położenia i ruchliwość ulicy przyciągały lekarzy i prawników**

W 1929 roku przy ulicy Warszawskiej kancelarię miał obrońca sądowy Aleksander Kuć i notariusz Witold Skroboński. Pod nr 19 mieszkał adwokat Stefan Olszewski.

Gabinet posiadała dentystka J. Dziarska-Wyrzykowska. Na początku lat trzydziestych, w domu Pianki, pod nr 28, gabinet otworzył doktor medycyny Stanisław Kronenberg. Pod nr 50 znajdował się skład apteczny „Lech” Karola Nowickiego, polecający perfumy, pudry, wyroby gumowe i chirurgiczne. Na początku ulicy pod 6 znajdował się skład apteczny Eliasza Frieda, który polecał także „wszelkie przybory oraz artykuły fotograficzne”.

Przy Warszawskiej biura otworzyli geometrzy: W. Zienkiewicz i A. Raczyński.

## **Siedziby partii politycznych**

Atrakcyjność tej wyjątkowej ulicy doceniały partie polityczne wybierając ją na siedzibę swoich biur. Już w trakcie kampanii wyborczej do Sejmu Ustawodawczego socjaliści wynajęli lokal przy Warszawskiej 8, nieopodal Rynku. Tam wyborcy mogli otrzymać „wszelkiego rodzaju informacje i wskazówki, jak również (...) przedwyborczą literaturę”.

Pod nr 33 lokal posiadało Stronnictwo Narodowe. Sekretariat Polskiego Stronnictwa Ludowego „Piast” znajdował się pod nr 51, wejście od podwórza. Biuro otwarte było we wtorki i piątki oraz w dni jarmarczne. Związek Zawodowy Robotników Rolnych agitował pod nr 66.

Swoje firmy prowadzili, m.in. Szmul Brzeziński, który przy ulicy Warszawskiej 15 sprzedawał galanterię, Gitla Szfat pod tym samym nr prowadziła drobną galanterię. Chaim Josek Lewicki pod 60 prowadził sklep kolonialno-spożywczy. Marjem Pestka pod 16 sprzedawała naczynia kuchenne i smary. Mordka Lejb i Wolf Zausznicowie pod 23 prowadził zakład krawiecki. Chana Estera Kamioner pod 1 sprzedawała wina i wódki, a u Bejla Zyber pod nr 55 znajdowała się piwiarnia. Bejla Płuda sprzedawała wodę sodową, lemoniadę, piwo i cukierki przy Warszawskiej 18. Pod ówczesnym numerem 14 Zygmunt Ostrowski prowadził sklep masarski. Natomiast przy Warszawskiej 27 Pinkus Pianka prowadził piekarnię i sprzedaż pieczywa. W budynku znajdowały się także mieszkania na wynajem.

## **Brutalny koniec rozwoju ulicy Warszawskiej**

Okres najlepszej koniunktury dla ulicy Warszawskiej trwający, bez większych zakłóceń, prawie całe dwa dziesięciolecia, gwałtownie zakończył się 1 września 1939 roku. Zamknięcie dużej liczby jej mieszkańców w gettcie, a następnie ich wywiezienie i zamordowanie zerwało naturalny dotychczasowy bieg dziejów. Ostateczny cios głównej ulicy Ciechanowa zadali komuniści prowadząc bezpardonową „bitwę o handel”.

Dariusz Piotrowicz

## Ciechanowska Galeria Wspomnień

### Młyn przy Nadrzecznej – wspomnienie z dzieciństwa

Przez wiele lat – jako mieszkaniec domku moich dziadków przy ul. Nadrzecznej 21 – sąsiadowałem z młynem, który według różnych danych należał do Lubienieckiego i Mundsztuka<sup>1</sup>. Mimo, że dokładnym adresem młyna jest Nadrzeczna 17, to obie posesje przylegały do siebie, więc miałem pewien wgląd w to, co się tam działo. Choć działo się stosunkowo niewiele, jako że młyn był przez większość czasu kompletnie opuszczony, dla małolata nie miało to wielkiego znaczenia, bo taki obiekt zawsze zawiera w sobie znaczną dozę tajemnicy i grozy, a to wystarcza, aby snuć o nim nie tyle historyczną, co lekko sfabularyzowaną opowieść.

Młyn na Nadrzecznej był – odkąd pamiętam – naszym postrachem, bo przez większą część roku był nieczynny i stał pusty, a wiało w nim i gwizdało do tego stopnia, że wycie i zawodzenie było czasami słycać z ulicy w dzień, jak się wracało ze szkoły. Może dorośli nie zwracali na to uwagi albo nic takiego nie miało w ogóle miejsca, ale my, szczeniaki, mieliśmy swoje uprzedzenia i legendy, których musieliśmy się trzymać, żeby „dotrzymać kroku rzeczywistości”, jak mawiał pewnego lata stróż obiektu kolonijnego w Mikołajkach, kiedy odwiedzaliśmy go w kotłowni z wychowawcą.

Strach było nawet zajrzeć do środka młyna przez wybite szyby, bo natychmiast wewnątrz pojawiały się jakieś cienie o kształtach nieludzkich potworów i wyciągały swoje kosmate łapy, żeby schwycić delikwenta i wciągnąć go do wewnątrz, najprawdopodobniej na pożarcie, albo co najmniej na przykucie łańcuchem do ściany i dozgonną służbę w niewoli. Ja zresztą tę sytuację bardzo nieładnie wykorzystywałem i terroryzowałem swoje młodsze siostry, a nawet ich koleżanki, gdy nie chciały mi czegoś dać albo dla mnie zrobić, to straszyłem, że wepchnę je do młyna. Dopiero ojciec zrobił ze mną porządek, jak mnie postraszył szczurem, który złapał się w pułapkę i pochodził rzekomo z młyna, co było prawdą, bo gryzonie te żerowały na resztkach ziarna z przemiału.

Początkowo jednak wcale nie młyn zwracał naszą uwagę, lecz obiekt w podwórzu, który nazywaliśmy potocznie stodołą. Był to okazałych rozmiarów drewniany budynek, który w okresie rozkwitu służył za magazyn zboża przywożonego na przemiał. Ale dla nas, ta stodoła było obiektem o zupełnie innym przeznaczeniu. Po prostu, biegaliśmy na wyścigi dokoła stodoły – na wytrzymałość, jak się mówiło, kto przebiegnie więcej okrążeń bez odpoczynku. Sto okrążeń było normą, która nobilitowała biegacza i wróżyła mu, jak wierzyliśmy, olimpijską karierę. Był to jeden z niewielu sportów, poza toczeniem obręczy i grą w palanta, które namiętnie uprawialiśmy, bo nie wymagał żadnego ekwipunku – można było biegać na bosaka.

Mimo że moje domostwo graniczyło z młynem, a moja sypialnia, służąca jednocześnie za warsztat krawiecki mojej mamy, ze skomplikowaną maszyną do

---

<sup>1</sup> Jest to jedna z pisowni nazwisk według publikacji „Yisker -bukh fun der Tshexhanover yidisher kehile” (red. A. Wolf Yasni, Tel-Aviv, 1962). W tej samej publikacji używa się też pisowni Lubinsky, Lubinetsky oraz Mundzak, a „Księga adresowa dla przemysłu, handlu i rolnictwa”, Rudolf Mosse, Berlin, 1919 r., podaje pisownię Lubliniecki.

szycia Singera, na której kilka razy przeszyłem sobie palec, oraz maszyną do robienia swetrów, na której uczyły się fachu moje siostry, była oddzielona od młyńskiego muru zaledwie wąskim wjazdem na podwórze, to przez długi czas nie wiedziałem dosłownie niczego o funkcji tej wielkiej i szacownej budowli, ani mnie to specjalnie nie interesowało.

Oprócz udziału w wyścigach naokoło stodoły, na własnym podwórzu zajmowałem się odbijaniem piłek o wysoką ścianę młyna. Małą piłeczką palantową rzucałem najwyżej, jak mogłem, żeby się wyćwiczyć na niedzielne sesje palanta na pobliskim placu, a piłkę futbolową kopałem ile się da w wymalowany na tej ścianie zarys piłkarskiej bramki, który na zamówienie mojej mamy sporządził wujek Eustachy, żeby się nie zadawał z kolegami z ulicy.

Był to okres szaleństwa związanego z mistrzostwami świata, na których poezję piłki nożnej wykonywali zawodnicy tacy jak Pelé i jego koledzy z brazylijskiego Santosu. Miało to dla nas fatalne konsekwencje w szkole, bo z dnia na dzień kompletnie przestaliśmy się uczyć i dochodziło do tego, że na lekcji geografii nauczycielka otwierała usta ze zdumienia, jak na pytanie, na jakim kontynencie leży Brazylia, usłyszała w odpowiedzi wyniki ostatniej kolejki ligi brazylijskiej i ile kto strzelił bramek dla jakiej drużyny, z uwzględnieniem nie tylko pseudonimów, ale również pełnych nazwisk, które w przypadku Pelégo brzmiało Edson Arantes de Nascimento, co znałem na pamięć z dokładnej lektury Przeglądu Sportowego, który był nie do zdobycia w normalnej sprzedaży, ale znajoma kioskarka odkładała nam go co tydzień do teczki.

Wtedy właśnie dowiedziałem się o młynie trochę więcej, zresztą zupełnie przypadkowo. Skończyłem wspólne odrabianie lekcji u kolegi który miał ksywkę Myślun, więc jego mama odprowadziła mnie, jak zawsze, do domu i wpuściła na korytarz, który moi dziadkowie nazywali sienią, i poszła sobie z powrotem, ale ja zastałem drzwi do mieszkania zamknięte. Później tego wieczoru okazało się dlaczego były zamknięte. Moja siostra, Ania, wsadziła sobie do nosa metalową kulkę, której nie mogła wyjąć, i matka z ojcem pojechali z nią po pomoc na pogotowie ratunkowe, a babka była w ogrodzie i przeganiała chłopaków, co jej „weszli w szkodę”, jak mówiła, czyli – zrywali owoce z kilku jabłonek i śliw. Nie wiedząc, co ze sobą zrobić, postanowiłem przeczekać. Usiadłem na progu przed domem, mając nadzieję, że zaraz pojawi się ojciec, bo była pora obiadowa i wtedy zwykle przyjeżdżał do domu. Ale zamiast ojca pojawił się Okularz.

Okularz był chłopakiem o rok lub dwa starszym ode mnie, synem pielęgniarki, z którą mój ojciec – taksówkarz – miał jakiś zawodowy układ, bo woził ją po okolicznych wsiach do porodów, dlatego mówiono o niej: akuszerka. Matka posłała go do innej szkoły niż nasza i z wiadomych powodów nie pozwalała zadawać się z nami w ogóle, więc mało było o nim wiadomo.

Okularz miał pasję, o jakiej nigdy wcześniej ani później nie słyszałem, bo przyprawiała go do nas jego matka albo przychodził sam, żeby posiedzieć w samochodzie gdy mój ojciec przyjeżdżał na obiad. Ojciec jeździł starym przedwojennym mercedesem koloru niebieskiego, z odkrywaniem dachem, który Okularz nazywał „odrywaniem dachem”, i z tego względu najwyraźniej stanowił dla niego niebywałą atrakcję, jak również z powodu takiego – o czym, dowiedziałem się wiele lat później – że jego rodzina miała pochodzenie niemieckie i zaszczepiła w dzieciach podziw dla perfekcyjnej myśli technicznej tej nacji.

Okularz był bardzo dobrze wychowany i układny, i za każdym razem pukał do drzwi, po czym grzecznie pytał, czy może posiedzieć w samochodzie, a po uzyskaniu

pozwolenia wychodził do pojazdu, wyciągał z kieszeni w spodniach kawałek jakiegoś miękkiego materiału i polerował lakier w miejscach, gdzie zauważył najdrobniejsze plamy lub zabrudzenia, przede wszystkim na masce, która mu szczególnie imponowała, bo otwierała się na boki. Po czym otwierał drzwi od strony pasażera, udawał że wpuszcza do pojazdu klienta, czekał chwilę aż klient wsiądzie, zamykał drzwi, uważając przy tym, żeby drzwiami nie trzasnąć, bo ojciec bardzo się wtedy denerwował, i wchodził sam od strony kierowcy.

Jak usadowił się za kierownicą, to sprawdzał kilometraż, zapisywał go, włączał silnik, czyli zaczynał warczeć jak uruchamiany samochód, czasami wyjąc, jak to bywało gdy silnik nie chciał zapalić od razu lecz dopiero po kilku próbach, i ruszał pojazdem kręcąc odpowiednio kierownicą i przełączając kierunkowskazy. Nie wolno mu było przełączać biegów, a zresztą nie mógł sięgnąć nogami do pedału sprzęgła. Mieliśmy z niego niezły ubaw, wyglądając przez okno przy obiedzie, chociaż ja niespecjalnie lubiłem tę ceremonię, mimo jej zabawności, bo za każdym razem musiałem się nasłuchać, dlaczego nie wykazuję żadnego zainteresowania pojazdem, co ojca doprowadzało do rozpacz i długo nie mógł tego przeboleć.

Okazja do poznania młyna nadarzyła się zupełnie niespodziewanie. Okularz, zniechęcony nieobecnością mercedesa, udał się w drogę powrotną do domu, a ja siedząc nadal na progu oparłem brodę na kolanach i zbierałem myśli, co robić dalej. Nie chciało mi się iść na plac, gdzie zbierali się kolesie, ani do kowala popatrzeć na jego ceremonię podkuwania koni, bo byłem głodny, jako że bułkę z masłem, którą mi matka dała do szkoły na drugie śniadanie, oddałem za dwa sznurce ogony Myślunowi, wzbogacając swoją kolekcję zwierzęcych ogonów, gdzie miałem nawet ogon nutrii, a zupę którą nam dawali na długiej przerwie w stołówce szkolnej regularnie wymiotowałem. Medytując tak nad swoim mizernym losem, zauważyłem jak dwaj kolesie, Lacha z Fiodrą, wykonują zza rogu młyna jakieś tajemnicze ruchy w moim kierunku, jakby przywołując mnie do siebie.

Podniosłem się, rozejrzałem się dookoła, jak bym miał coś na sumieniu i obawiał się, że to się może wydać, i pobiegłem za róg. Tam Lacha z wielkim podnieceniem oznajmił mi szeptem, że wpadli obaj z Fiodrą na pomysł, żeby się dostać do młyna, ale kraty w oknie, które podpiłowali na wiosnę, znowu zardzewiały, że nawet uderzenie młotkiem nie pomaga, i potrzebują mesel. Ojciec miał w garażu wszystkie potrzebne narzędzia, więc pobiegłem w te pędy po mesel, Lacha przyłożył go do kraty, stuknął młotkiem dwa razy i krata odchyliła się na tyle, że mogliśmy jeden za drugim przecisnąć się do środka.

Była to tylko przybudówka do młyna od strony ulicy, prowadząca przez łącznik do właściwego budynku, gdzie pracowały młynarskie maszyny, jak łuskarnia, odsiewacze, żarna, podajniki, taśmociąg i inne, które dane mi było poznać dopiero parę lat później. A to dlatego później, że teraz po pokonaniu łącznika wspięliśmy się na piętro, po schodach wysokich i krętych jak w zamku krzyżackim, i ujrzelśmy w dole przedziwną scenę. Mój wujek, Eustachy, w kominiarskim uniformie, bo taki zawód wykonywał, wujek Myśluna, który był piekarzem, więc chyba przybywszy prosto z piekarni wyjmował zza pazuchy i kładł na stół jeszcze gorący bochenek chleba, z dwoma młynarzami w młynarskich kitlach, którym na kolanach siedziała pewna znajoma pracująca na co dzień jako sklepowa u pani Chuchulskiej w Rynku, rozlewali do szklanek jakiś płyn z butelki z czerwoną kartką i śpiewali radośnie:

Widziałem Marynę raz we młynie,  
Jak laźła na górę po drabinie...

Ciąg dalszy zapewne jest wam Czytelnikom znany – takie oto wspomnienie...





## Ciechanowanie w KL Soldau

Istnieje w sąsiednim województwie warmińsko-mazurskim powiatowe miasto z krzyżackim zamkiem i charakterystyczną wieżą ciśnię z czerwonej cegły, o nazwie Działdowo. Leżało ono, nie tak aż dawno, w granicach województwa ciechanowskiego. Dziwny był to twór, a najdziwniejsze było w nim połączenie odwiecznie mazowieckich ziem, z obecnym powiatem działdowskim leżącym na Mazurach, a historycznie związanym z Państwem Krzyżackim i Prusami Wschodnimi. Dlatego, poza wspólną jednostką administracyjną, miast tych nie łączyło prawie nic – ani krajobraz, ani architektura, ani tradycja, ani historia, ani więzy gospodarcze czy społeczne, ani nawet mentalność ludzi. Jedni nazywali drugich pogardliwie „Krzyżakami”, natomiast drudzy odgryzali się pierwszym wołając na nich „Bose Antki” lub „Kongresiaki”. Czasami urzędnicy znad Łydyni zapuszczali się do miasta nad Działdówką przeprowadzić kontrolę, wizytację czy jakieś szkolenie. Innym razem urzędnicy z Działdowa wybierali się „do centrali” na naradę. I to w zasadzie wszystko. 23 lata wspólnego województwa w żaden sposób nie połączyło tych miast.

Jest jednak pewna mroczna historia i pewne upiorne miejsce, które od ponad osiemdziesięciu lat związało Ciechanów i Działdowo potwornym węzłem tragicznych wspólnych losów na zawsze.

Przybywając do Działdowa pociągiem, nieopodal dworca, przy ulicy Grunwaldzkiej można dostrzec olbrzymi budynek z czerwonej cegły i desek stanowiących tak zwany mur pruski. Budynek z roku na rok popada w ruinę, na środku zawaliła się duża część dachu i muru, choć ostatnio jest zabezpieczony przed całkowitym zawaleniem.

Budowla obecnie straszy wyglądem, ale jeszcze bardziej straszy historią. Miejsce to nazywane jest dziś koszarami albo KL Soldau, a było ono faktycznie utajnionym obozem zagłady, również dla wielu ciechanowian i mieszkańców rejencji ciechanowskiej.

Oficjalna jednak nazwa brzmiała „Durchgangslager” czyli obóz przejściowy, a nazwy jego często były zmieniane. Wcześniej były to koszary pruskie, a po I wojnie światowej polskie. Teren liczył około 8 hektarów. Niemcy zaczęli tam organizować miejsce zagłady niemal od razu po zajęciu miasta, jeszcze we wrześniu 1939. Organizacją zajął się SS-Brigadeführer Otto Rasch. Początkowo, po kapitulacji Twierdzy Modlin więziono tam polskich jeńców wojennych, a już po kilku tygodniach, Polaków aresztowanych w ramach Intelligenzaktion – operacji służącej wymordowaniu polskiej arystokracji, inteligencji, duchowieństwa, dyplomatów, urzędników, działaczy społecznych i polityków. Oczywiście, zgodnie z polityką niemiecką, do KL Soldau trafiali też Żydzi i osoby z różnymi niepełnosprawnościami.

Pierwszy transport więźniów do KL Soldau przybył jeszcze w grudniu i byli to więźniowie z Ciechanowa. Kim byli? Otóż byli to nauczyciele z Ciechanowa i powiatu ciechanowskiego aresztowani jeszcze w październiku i listopadzie. Przewiezionym mówiono, że zostaną skierowani do pracy w szkołach na terenie Generalnego Gubernatorstwa. Tymczasem 8 grudnia 1939 roku o godzinie czwartej rano zostali rozstrzelani w pierwszej egzekucji, jaką wykonano na więźniach w KL Soldau. 34 ofiary prosto z cel przewieziono samochodami ciężarowymi do lasu pod wsią

Komorniki koło Działdowa i tam zabito. Wśród zabitych był nauczyciel Robert Otto Małek. Jego śmierć tak opisuje jeden z uczestników zbrodni i znajomy nauczyciela:

---

*bardzo wczesnym rankiem, pewnego dnia załadowali nas uzbrojonych w karabiny i amunicję, do ciężarówka. Stanęliśmy w lesie pod Komornikami. Za nami przyjechała druga ciężarówka, z której wysiadło 36 (faktycznie 34) osób. Zostali oni rozstrzelani. Po wykonaniu wyroku, jeden z Niemców podszedł do Roberta, kopnął go butem i zauważył, że Robert żyje, więc przyłożył mu lufę rewolweru do jego skroni i Roberta dobił.*

---

Obóz w Działdowie stał się takim poligonem doświadczalnym hitlerowskiej eksterminacji ludzi na masową skalę. Trzeba tu ponownie podkreślić, że był to tajny obóz zagłady. W przypadku KL Soldau nikt nie nazywał rzeczy po imieniu. Może dlatego Auschwitz, Treblinka, Majdanek, Stutthof są nazwami budzącymi od dziesięcioleci grozę na całym świecie, tymczasem Soldau? Każdy wzrusza ramionami i pyta: a co to? Tymczasem według profesora Radosława Wiśniewskiego, z Muzeum Pogranicza w Działdowie, autora książki „Wielofunkcyjny niemiecki obóz Soldau 1939-1945. Próba całościowego ujęcia”, świadkowie, byli więźniowie mówili o istnym piekle.

Ci więźniowie obozu działdowskiego, którzy przeszli później także przez Auschwitz czy Treblinkę, twierdzili, że w porównaniu do Soldau „tam nie było najgorzej”.

Po masowych mordach w lesie białuckim Niemcy robili przyjęcia, na których oprawcom wręczano bursztynowe szkatułki z dedykacją Gauleitera Prus Wschodnich Ericha Kocha, po 10 marek za jednego zamordowanego i urlopy w Holandii.

Jak żyli ciechanowianie i inni więźniowie z rejencji ciechanowskiej w KL Soldau?

W niewielkich celach przebywało tam po 40-50 osób. Po przyjeździe zabierano im wszystko – pieniądze, biżuterię, zegarki, przybory toaletowe. Nie mieli oni więziennych ubrań, tak zwanych pasiaków. Nosili swoje ubrania tak długo, aż się całkowicie zniszczyły. Bywało, że chodzili boso nawet zimą. Nie było pryczy, czy miejsc do siedzenia, spali na sieczonej słomy pełnej robactwa. Śniadanie i kolację stanowiła czarna kawa, czasem trochę chleba. Na obiad jedli zupę z brukwi.

Więźniowie wychodzący za potrzebą do tak zwanej toalety, czy po jedzeniu przez plac obozowy, byli bestialsko bici przez esesmanów. Osadzeni nie mieli dostępu do wody. Usta płukali kawą, a myli się śniegiem. Więźniowie często umierali z głodu. Ponieważ nie było łyżek, jedzenie chłoptano wprost z niemytych metalowych misek. Pomoc lekarska praktycznie nie istniała. W „szpitalu”, znajdującym się w jednej ze stajni, chorzy leżeli na cementowej posadzce we własnych odchodach, bez opieki i jakiegokolwiek pomocy lekarskiej. Natomiast w piwnicznych kazamatkach przebywały konające osoby. Były przywiązywane drutem kolczastym do rur wodociągowych za szyję.

Codzienna poranna gimnastyka polegała na bieganiu między szeregiem funkcjonariuszy SS, którzy bili więźniów kijami. W szczególnie okrutny sposób

traktowano osoby duchowne. Były one głodzone, torturowane, podczas codziennej gimnastyki musiały się czołgać na łokciach i kolanach wokół podwórza, nocami natomiast stały na zewnątrz w mrozie.

Przed każdym posiłkiem trzeba było przebiec kilka kół koło płotu otaczającego obóz. Ci, którzy dobiegli ostatni, nie dostawali posiłku. Mira Stok, więźniarka obozu tak to wspomina:

---

*przed każdym posiłkiem trzeba było przebiec kilka kół koło płotu otaczającego obóz. Ci, którzy dobiegli ostatni, nie dostawali posiłku. Mama trzymała mnie za rękę, a gdy nie mogłam już biec, biegła sama, nosząc mnie na rękach. Często biegłyśmy za wolno, by dostać naszą porcję chleba.*

---

Kolejna relacja pochodzi od księdza Wacława Jezuska, więźnia obozu, wikariusza generalnego diecezji płockiej, który przeżył pobyt w KL Soldau:

---

*liczenie więźniów odbywało się przy drzwiach wejściowych na podwórze, na komendę „Abort!”. Więźniowie wybiegali na dziedziniec obozowy, bici i pędzeni do niewyobrażalnie zanieczyszczonych latryn. Tłok, brak miejsca i kilka minut czasu niektórym więźniom nie pozwalały na skorzystanie z latryn. Kto nie zdążył szybko wybiec, dostawał bykowcem po plecach.*

---

Inny więzień opowiadał, jak esesmani wyrzucili kobietę z drugiego piętra na rozpięte druty kolczaste. Przez okno swej celi widział ją jęczącą z bólu. Wieczorem zwlekli ją z drutów, zaciągnęli do piwnicy i tam zastrzelili.

Jeden z następnych więźniów KL Soldau zeznał:

---

*był tam szpital, gdzie strzelano w potylicę. Istnieje jeszcze szopa, gdzie przeprowadzano doraźne egzekucje. Na ścianach niektórzy wypisali na pożegnanie swe nazwiska i datę śmierci. Była to stajnia dla koni, która służyła chorym za szpital. Na nawozie końskim przykrytym słomą leżały chore kobiety. Wszystkim chorym ze szpitala robiono zastrzyki, rzekomo przeciw tyfusowi. Po kilku godzinach wszyscy umarli. Zabitych wywożono wieczorem do pobliskich lasów”.*

---

Specyfiką działdowskiego obozu był też zakaz przysyłania paczek żywnościowych. Więźniowie nie mogli również prowadzić korespondencji z bliskimi, czego nie praktykowano w innych niemieckich obozach.

Ciasnota w celach, niemożność zmiany bielizny i odzieży oraz brak umywalek przyczyniały się do tego, że więźniowie byli zawszeni i brudni. Fatalne warunki sanitarne w połączeniu z powszechnym w obozie głodem przyczyniały się do wysokiej śmiertelności. Była to z rozmysłem prowadzona polityka eksterminacji

więźniów. Warunki życia w obozie dlatego były tak bardzo ciężkie, ponieważ Niemcy zamierzali doprowadzić do jak najdotkliwszego wyniszczenia fizycznego i psychicznego ludzi. W sierpniu 1941 roku w obozie wybuchła epidemia tyfusu płamistego. Ówczesny komendant Krause uznał, że najskuteczniejszą metodą walki z epidemią będzie eksterminacja chorych. Zabierano ich do sal chorych, by następnie pojedynczo ich wywlekać do piwnic i tam rozbijać im drewnianymi pałami głowy.

Szczególną grupą w KL Soudal byli duchowni

Wśród więźniów KL Soldau, poza polską inteligencją i Żydami, szczególną grupą byli duchowni. Wśród nich znalazł się arcybiskup Antoni Julian Nowowiejski, biskup płocki, pierwszy w historii sekretarz generalny Episkopatu Polski oraz płocki biskup pomocniczy Leon Wetmański, obaj zamordowani prawdopodobnie w Białutach. Poza tym od sierpnia 1941 roku w obozie przebywało 35 sióstr z klasztoru kapucynek w Przasnyszu. Do KL Soldau trafiło także 36 sióstr pasjonistek, aresztowanych w Płocku i Staroźrebach. Traktowanie ich było szczególnie okrutne. Biskupowi Nowowiejskiemu Niemcy nigdy nie zapomnieli słów z komentarza do encykliki papieża Piusa XI z 1937:

---

*jesteśmy świadkami powrotu do pogaństwa,  
mniejsza jak się ono dziś nazywa,  
czy obojętnością religijną, czy komunizmem,  
czy nową religią niemiecką „krwi i rasy”.*

---

Postulaty odnośnie do traktowania duchowieństwa najlepiej oddaje pismo volksdeutschów płockich do szefa gestapo w Ciechanowie z 20 lutego 1940 roku:

---

*biskupi są w rzeczywistości pierwszymi i największymi  
zbrodniarzami, którzy muszą zostać unieszkodliwieni. Dlatego  
prosimy gestapo, aby usunęło na zawsze z Płocka wysoce  
upolitycznionych i kościelnie zamaskowanych zbrodniarzy –  
Antoniego Juliana Nowowiejskiego i Leona Wetmańskiego.*

---

Te same argumenty zostały przytoczone przez gestapo ciechanowskie w piśmie do Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy z 11 października 1940 roku, mającym zapobiec wnioskowi nuncjusza papieskiego o zwolnienie arcybiskupa. Dowodzono w nim, że wniosek nuncjusza powinien zostać odrzucony, gdyż

---

*polski Kościół katolicki w tutejszym okręgu otrzymałby niewątpliwie  
silny doping, a ożywienie polskiej myśli oporu byłoby nieuchronnym  
następstwem tego. Zresztą arcybiskup Nowowiejski był przed  
wybuchem wojny niemiecko polskiej fanatycznym przeciwnikiem  
Rzeszy i widać, że nie zmienił swego nastawienia.*

---

Czym to skutkowało, oddaje relacja ówczesnej więźniarki Haliny Rogozińskiej:

---

*W Wielki Piątek, 11 kwietnia 1941 roku podczas przechadzki Arcybiskup upadł, uderzony batem przez esesmana. Podbiegli esesmani, kilka razy kopnęli, zdarli mu z głowy czapkę, unurzali ją w błocie i włożyli mu na głowę. Miał odwagę powracających do cel błogostawić. Każde wyjście na plac, także do ubikacji, było dla księży drogą przez mękę. Niemcy cały czas ich bili po głowach, po plecach. Zwykle na końcu czołgał się arcybiskup Nowowiejski, bo był bardzo schorowany.*

---

Więźniarka ta wspomina też inną makabryczną historię:

---

*pamiętam, że obóz podzielony był na trzy zasadnicze części: dla księży, dla Żydów i dla nas – zwykłych Polaków. My przebywałyśmy na strychu na rozrzuconej brudnej słomie. Do ubikacji chodziłyśmy na podwórko, gdzie wykopany był długi rów. Widziałam, jak wpadł do tego dołu chłopiec, chyba 10-letni, a Niemcy, zaśmiewając się, przydusili go kijami i utopili.*

---

Ogólnie polscy duchowni w KL Soldau tworzyli specjalną grupę więźniów, nad którą znęcano się w wyjątkowo wyrafinowany sposób. Wydawano im mniejsze porcje jedzenia i maltretowano podczas różnych wymyślnych ćwiczeń. Praktyki religijne i kapłańskie były surowo zakazane. Kapucynka z Przasnysza, więźniarka Soldau tak to wspomina:

---

*tej bolesnej, wprost tyrańskiej pielgrzymki księży do ustępów nie mogliśmy obserwować. Kopanie, bicie, znęcanie się było na początku dziennym, a gimnastykę, jaką esesmani kazali uprawiać, wymyślił chyba sam szatan tak była mecząca i poniżająca godność człowieka.*

---

Do osadzenia i zabicia wystarczył zapisek jednego z funkcjonariuszy niemieckiego aparatu zagłady, że

---

*istnieje podejrzenie, że jako ksiądz podżegał przeciwko narodowi niemieckiemu.*

---

Jedną z aresztowanych była siostra Maria Teresa Mieczysława Kowalska ze Zgromadzenia Kapucynek św. Klary. Siostrę Marię Teresę zamknięto wraz z innymi zakonnicami z przasnyskiego zgromadzenia w jednej celi. Głód, brak wody i fatalne warunki higieniczne spowodowały, że zmarła ona po niespełna czterech miesiącach

pobytu w obozie. Tak wspominała to siostra Bernadeta Suchecka, uwolniona z obozu wraz z pozostałymi zakonnkami po śmierci siostry Kowalskiej:

---

*miesiąc po deportacji siostra Kowalska dostała krwotoku, który rozpoczął jej jedenastotygodniową drogę męczeńskiej śmierci. Leżała, dusząc się z powodu kurzu, który powstawał przy każdym poruszaniu starej słomy. Na domiar złego w obozie wybuchła epidemia tyfusu, a używanie chlorku do jej zwalczania tylko pogorszyło stan zdrowia. Miała obolałe ciało, na którym pojawiły się odleżyny, tworząc jedną wielką ranę. Leżała cicho, bez skargi.*

---

### „Likwidacja życia niewartego życia”

Do KL Soldau regularnie kierowano też Polaków skazanych na karę śmierci i nie tylko, przez sąd doraźny gestapo w Ciechanowie, za działalność konspiracyjną. Inną grupą więźniów były osoby chore umysłowo i niepełnosprawne, likwidowane w ramach tzw. Akcji T4, czyli „likwidacji życia niewartego życia”. Poza polskimi patriotami i osobami z niepełnosprawnościami, więźniami KL Soldau byli Żydzi, głównie z rejencji ciechanowskiej.

### Jak Niemcy zacierali ślady zbrodni

Upiorny obóz przejściowy, będący istotnie obozem zagłady, istniał do końca wojny zmieniając tylko nazwy. Po wojnie przejęło go... NKWD. Zanim to nastąpiło, w ramach tzw. Aktion 1005, czyli zacierania przez Niemców śladów swoich własnych zbrodni, ciała pomordowanych i niechlujnie zakopywanych od 1940 roku, zostały w 1944 i 1945, tuż przed natarciem wojsk sowieckich, ponownie wykopane, spalone, zmielone oraz znów zakopane lub rozsypane. W ten sposób lasy białuckie stały się ostatecznym miejscem spoczynku mieszkańców naszego miasta.

Tak to wspomina jeden ze świadków, przymusowych uczestników akcji:

---

*w 1944 roku w kwietniu trzech Niemców w ubraniach czarnych z trupimi główkami oraz żandarmi polowi w liczbie 17 przy pomocy 32 ludzi z obozu w Działdowie palili zwłoki (choć w rzeczywistości zwłoki palili tylko więźniowie). Byłem wówczas zatrudniony przy układaniu drewna na stosy, na których palono zwłoki. Dziennie palono około 150 zwłok, a palono je przez cały miesiąc. Następnie popioły zostały zakopane. Do realizacji tego celu posłużono się kilkunastoma Żydami, którzy musieli otworzyć groby, wydobyć zwłoki, a następnie je spalić. Po wykonaniu tej makabrycznej czynności Żydzi zostali rozstrzelani.*

---

KL Soldau, do którego trafiło tak wielu mieszkańców Ciechanowa, był, jak na hitlerowskie warunki, prymitywnym miejscem ludobójstwa. Może dlatego, że powstał tak szybko i był „utajniony”. Nie było tam krematoriów, dołów ciepłopalnych czy rusztów z szyn kolejowych. Zwłoki po prostu wywożono do lasów i zakopywano.

W lipcu 2022 roku, w lesie białuckim Komisja Ścigania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu odkryła dwa masowe groby z czasów II wojny światowej. Jeden ma 28 metrów długości, drugi 12 metrów. Głębokość jam to ok. 3 metry. Znaleziono w nich 17,5 tony prochów ludzkich, co może odpowiadać liczbie 8 tysięcy ofiar. Ofiary z grobu w lesie białuckim były po odkopaniu ograbiane z cenniejszych przedmiotów, a następnie polewane benzyną, okładane chrustem i palone. Szczątki po spopieleniu były mielone. W jamach grobowych w lesie białuckim archeolodzy znaleźli kilkaset przedmiotów m.in. guziki, szkaplerze, krzyżyki, nożyki do cięcia papieru. Instytut Pamięci Narodowej zapowiada zbadanie kolejnych sześciu miejsc, w których mogą znajdować się podobne groby.

Dariusz Węcławski



## Poezja

### Żal

Jeszcze mnie gryzie w gardle  
niby kurz pamięci  
cierpki smak  
zielonych gruszek – ulęgałek,  
którym nie dała dojrzeć  
niecierpliwość dziecka.

Kusiły z gałęzi dzikiej gruszy,  
co rosła na miedzy wśród pól,  
zielonym drogowskazem dzieciństwa.

Dobrotliwą dłonią osłaniała słońce,  
podawała cień.

Po polu ojciec, uzbrojony w kosę,  
wiosłował w powodzi zbóż.

Ojciec – największy przyjaciel  
o dużych dłoniach  
i ramionach pełnych bezpieczeństwa.

Biegnę za nim i biegnę,  
wołam: Tato – a on coraz dalej  
i dalej, już gdzieś  
za niebieskim horyzontem –  
a ja coraz bardziej,  
coraz bardziej sam.

Tylko stara grusza na miedzy  
jeszcze mnie poznaje,  
gdy powracam na ścieżki dzieciństwa  
i podaje mi cień.

I ciągle ściska w gardle  
cierpki smak zielonych  
niedojrzałych gruszek.

A może to po prostu żal...

### Pożegnania

Pożegnania są jak smutku dotyk  
Pożegnania pełne są tęsknoty  
Nawet jeśli sam  
ruszasz w dalszą drogę  
to przecież wracać masz do kogo

Umierania zawsze są samotne  
Umierania są od łez wilgotne  
Nawet jeśli ktoś  
trzyma cię za rękę  
nie pójdzie w drogę razem z tobą...

## Obecność

jesteś... bądź  
czuję dyskretny  
powiew wiatru  
przeszywającego  
delikatnym chłodem  
duszę i drżące ciało  
twój cichy szept  
świeci w ciemności  
jak nagrobny znicz  
odsłaniając nieśmiało  
bladość mojej twarzy  
tyś z tamtego świata  
mów do mnie mów  
dmij chłodem i świeć  
może choć ty coś wiesz...  
znów jak przed laty  
gubię się w labiryncie  
porośniętych mchem  
grobowych ruin  
pędzlem zmierzchu  
na szaro malowanych  
w martwym świecie  
szukając odpowiedzi  
na żywe pytania

## Umarli-nieumarli

pośród wilgotnych kropel mgły  
w przepastnych kieszeniach mroku  
na strychu w piwnicy  
w cieniu pośród drzew  
i tuż pod powiekami  
kiedy ciszej spokojniej samotniej  
szepczecie milczącymi ustami  
patrzycie zamkniętymi oczyma  
dotykacie przenikając ciało  
subtelny muśnięciem  
chłodnego powietrza  
pokazując drogę  
ustawiając znaki  
może Bóg staruszek  
nie domknął furtki raju  
a może to tylko  
umysł psotny  
zabawia się  
wspomnieniami

Dariusz Węclawski

## Stefan Szyller

– zapomniany aranżer i designer ciechanowskiej fary

Ciechanowski kościół Narodzenia Najświętszej Marii Panny, czyli popularna fara, jest obecnie najstarszą katolicką świątynią w naszym mieście. Myliłby się jednak ten, kto sądziłby, iż od zarania wyglądała ona tak, jak obecnie.

Kto choć trochę interesuje się historią naszego miasta wie oczywiście, że już w XI (lub XII) wieku na Farskiej Górze stała świątynia w kształcie preromańskiej rotundy, a w XIII wieku powstał w tym miejscu kościół Świętych Apostołów Piotra i Pawła, który spłonął w wieku XV.

Obecna świątynia została wzniesiona na początku wieku XVI, miała trzy nawy i pierwszy w Polsce transept (o czym też mało kto wie), czyli nawę poprzeczną utworzoną przez dwie boczne symetryczne kaplice, 11 murowanych filarów i drewniany, płaski dach. Kościół był (i jest) orientowany. Cóż to oznacza? Jego prezbiterium z ołtarzem głównym zwrócone jest ku wschodowi, skąd według biblijnych przekazów ma nadejść Jezus podczas paruzji, czyli drugiego przyjścia.

Od wtedy kościół uległ dwóm poważnym uszkodzeniom: podczas potopu szwedzkiego, jak całe miasto oraz podczas stacjonowania wojsk napoleońskich. Żołdacy cesarza Francuzów urządzili sobie w naszej farze... piekarnię. W tym celu wymurowali sześć pieców. Opału też nie szukali zbyt daleko. W ogień poszły deski z kościelnego ogrodzenia, ławki, ambona, w końcu ołtarze, organy, a nawet podłoga. Sytuacja była poważna, albowiem języki ognia z otwartych pieców sięgały sufitu, który przecież też był drewniany. Na szczęście jakimś cudem ocalał, co opisywał ówczesny proboszcz ksiądz Rajmund Bagiński.

Po wyparciu Francuzów przez Rosjan zajęto się remontem zdewastowanego kościoła, w czym wydatnie pomógł hrabia Wincenty Krasiński, ojciec wieszacza romantyzmu z Opinogóry Zygmunta Krasińskiego, który w tej właśnie świątyni został ochrzczony i bierzmowany. Kościół przeszedł jeszcze remont pod koniec XIX wieku.

Kiedy kościół farny zaczął wyglądać tak jak obecnie?

Otóż na początku XX wieku w latach 1913-1920, kiedy trwała I wojna światowa, Polska odzyskiwała niepodległość i walczyła z bolszewikami, ówczesny proboszcz Remigiusz Jankowski współpracował z wybitnym warszawskim architektem niemieckiego pochodzenia Stefanem Szyllerem. Był on synem Teofila Schüllera, również architekta.

Urodził się w 1857 roku. Rodzina od dawna była zakorzeniona w Warszawie, albowiem jego pradziad Franciszek, był jeszcze przed zaborami znanym warszawskim jubilerem i radnym.

Młody Stefan skończył III Warszawskie Gimnazjum Męskie i Cesarską Akademię Stuk Pięknych w Petersburgu, po czym jako stypendysta przebywał pięć lat w Europie Zachodniej, by powrócić do Warszawy, gdzie zrealizował wielkie projekty.

Szyller był autorem tak znanych warszawskich obiektów jak:

- gmach Narodowej Galerii Sztuki „Zachęta”, który ówczesny „Kurjer Poranny” nawał „Pałacem Sztuki”,

- słynna brama i stara biblioteka Uniwersytetu Warszawskiego,
- przepiękny gmach Politechniki Warszawskiej,
- cały neorenesansowy wystrój Mostu Poniatowskiego z wieżyczkami, balustradami i pawilonami,
- gmach dzisiejszej Rady Ministrów,
- Browar Haberbusch i Schiele przy ul. Grzybowskiej,
- wiadukt Markiewicza nad ulicą Karową
- oraz ponad sto warszawskich kamienic.

Gmach Politechniki rysował architekt w pociągach podczas trzytygodniowej podróży po Europie, gdzie podglądał budynki wyższych uczelni.

Ponad połowa z zaprojektowanych przez niego budowli została zburzona w czasie II wojny światowej.

Szyller nie ograniczał się jednak jedynie do Warszawy. Jest też autorem Radomskiej Wytwórni Papierosów, czy osiedla Fabryki Broni w tym mieście.

Specjalizował się też w projektowaniu kościołów m.in. w:

- Warszawie,
- Radomiu,
- Pionkach,
- Mońkach,
- Częstochowie,
- Siennicy Różanej,
- Druskiennikach na Litwie,
- czy nieistniejącego już kościoła w Kowlu w granicach obecnej Ukrainy.

Zajmował się także przebudową, głównie obiektów sakralnych m.in. kolegiaty w Ostrowcu Świętokrzyskim czy bazyliki katedralnej Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Płocku, przywracając jej renesansowy fronton.

W 1901 został zaproszony do udziału w pracach komisji artystycznej, której celem była renowacja Jasnej Góry.

#### **Na Jasnej Górze jego dzieła to:**

- przebudowanie wschodniej elewacji z umiejscowieniem na niej ołtarza zwanego zwyczajowo „na szczycie”,
- zbudowanie 14 kamiennych cokołów pod stację Drogi Krzyżowej,
- odnowienie bram i murów fortecznych,
- odbudowa spalonej wieży jasnogórskiej,

- utwardzenie placu przed główną bramą wejściową i utworzenie pośrodku kamiennej kompozycji wyobrażającej herb pauliński
- umiejscowienie w ołtarzu głównym panczernej kasety, która chroniła obraz przed ogniem i kradzieżą.

Nie wszystko się wszakże Szyllerowi udawało

3 maja 1901 roku jego projekt na Kościół Najświętszego Zbawiciela przy Placu Zbawiciela w Warszawie wygrał konkurs. Uczestnicy startowali anonimowo, pod godłem. Jego projekt wygrał zarówno głosami znamienitego jury, jak i warszawiaków, podziwiających projekty w gmachu Zachęty. Architekt otrzymał 750 rubli. Był to wielki sukces, ponieważ po realizacji wielu projektów świeckich, w końcu miał on zrealizować znaczący projekt sakralny. Jednak tydzień później jury wybrało do realizacji projekt Józefa Dziekońskiego, który otrzymał... drugą nagrodę i był tańszy w wykonaniu. Prasa i mieszkańcy byli zbulwersowani. Na ulicach zawrzało. O projekcie Szyllera pisano, że to

---

*„dzieło prawdziwej sztuki i obiecujące miastu świątynię wspaniałą, uroczystą i piękności pełną, jako że Warszawa w ogóle nie posiada pięknych kościołów i pod tym względem stanowi wprost przykry wyjątek pomiędzy większymi miastami europejskimi”.*

---

Nic to nie pomogło, wybrano projekt z drugiego miejsca... zmodyfikowany i łudząco upodobniony do dzieła Szyllera. Kościół oddano do użytku w 1907 roku.

Architekt miał też żyłkę społecznika. Neogotycki projekt Domu Pomocy Społecznej w Zielonce wykonał w 1900 roku zupełnie nieodpłatnie. Pisząc natomiast w 1916 roku książkę „Czy mamy polską architekturę”, okazał się nie tylko praktykiem, ale i teoretykiem w swojej dziedzinie.

Dziś trudno sobie wyobrazić Warszawę, bez budowli zaprojektowanych przez Stefana Szyllera. Był on jednym z architektów tworzących tzw. „styl narodowy”, który odzwierciedlał w projektach neogotyckich i neorenesansowych. Dał się poznać jako zwolennik form historycznych, który w swojej twórczości nawiązywał do renesansu jak i baroku.

Wielokrotnie otrzymywał nagrody architektoniczne, m.in. medal św. Anny III klasy za gmach Politechniki Warszawskiej, nagrodę artystyczną miasta stołecznego Warszawy oraz tytuł akademika za projekt Pomnika Włoch Zjednoczonych podczas pobytu w tym kraju.

Jego jedyny syn, również Stefan nie poszedł w ślady ojca i dziadka. Był zastępcą dowódcy 3. Szwadronu 1 Pułku Szwoleżerów, walczył w 1 Pułku Ułanów Legionowych Polskich. Zginął w 1919 podczas wojny polsko-bolszewickiej mając zaledwie 27 lat. Pośmiertnie został odznaczony orderem Virtuti Militari. W 1924 roku zmarła jego żona Zofia. To były dwa ciosy, które wstrząsnęły zdrowiem architekta. Sam zmarł w roku 1933.

A co zrobił Stefan Szyller w ciechanowskim kościele farnym?

Otóż odmienił jego oblicze, szczególnie od wewnątrz. Zmienił on całkowicie wygląd południowej kaplicy św. Anny projektując okrągłą wieżyczkę schodową oraz zaprojektował zakrytą w stylu pseudogotyckim, ale przede wszystkim zmienił wygląd wnętrza całego kościoła projektując głównie wspaniałe neogotyckie gwiaździste sklepienia świątyni, zastępujące płaski drewniany sufit, które możemy dziś podziwiać.

Zaraz po wykonaniu projektów Szyllera, malarz Władysław Drapiewski wykonał istniejące do dziś polichromie. Architekt zaproponował znacznie więcej. Prace przy farze ciechanowskiej w zamierzeniu były jej przebudową. Podjęte w 1909 roku i do roku 1924, przebiegały pod kontrolą Towarzystwa Opieki nad zabytkami Przeszłości (TOnZP) ingerującego w kolejne etapy.

Szyller stworzył aż trzy kolejne warianty projektu (1909, 1913 i 1921), redukując pierwotnie zakładany zakres prac. Głównym celem zamierzonej przebudowy było przesklepienie krytej stropem pseudobazyliki gotyckiej, a także przebudowa chóru muzycznego, neogotyckiej kaplicy z 1840 roku, przerobienie dawnego skarbcza i zakrytą na kaplicę oraz dobudowa nowej zakrytą i skarbcza. Udział komisji TOnZP, przyczynił się do zaniechania pomysłu podwyższenia ścian nawy głównej i przerobienia korpusu na bazylikowy, natomiast wszystkie inne zmiany w strukturze kościoła zostały przez tę komisję zaakceptowane. tj. przesklepienie wnętrza, przebudowę chóru muzycznego, zniesienie neogotyckiego detalu kaplicy południowej z 1840 roku, przywrócenie jej pierwotnej formy gotyckiej, zamknięcie korpusu świątyni szczytem gotyckim, wzorowanym na szczycie frontowym i przekształcenie sygnaturki na bardziej ozdobną. Zrealizowano jednak tylko część wizji tego wybitnego wizjonera.

Dla ciechanowian zapewne zaskoczeniem będzie, że patrząc na sklepienia prastarej fary widzą projekt datowany dopiero na przełom XIX i XX wieku, a nie dzieło powstałe w czasach średniowiecza. Tym bardziej świadczy to o geniuszu architekta, specjalizującego się w formach historycznych, neo- i pseudogotyckich, idealnie komponujących się dziełami średniowiecznych mistrzów. Dodatkowo dumą powinien napawać nas fakt, że zaprojektował je architekt wybitny, którego charakterystyczne budowle decydują o wyglądzie stolicy naszego kraju i ukształtowały obecne oblicze Jasnej Góry.

Dariusz Węclawski

## Bohaterowie naszych ulic

### Jarosław Dąbrowski – powstaniec i komunard

Jarosław Dąbrowski był, obok Tadeusza Kościuszki, Józefa Bema i Walerego Wróblewskiego, największym z polskich internacjonistów, walczących o wolność waszą i naszą. Był, mimo niewysokiego stopnia oficerskiego i młodego wieku, znakomitym oficerem i zdolnym strategiem. Jego celem była walka z carską Rosją o wyzwolenie Polski, opracował realny plan wybuchu antyrosyjskiego powstania. Niestety, aresztowany przez Rosjan nie mógł kierować powstaniem, nazwanym potem styczniowym, w 1863 roku. Zginął w obronie robotniczego Paryża przed wewnętrzną przemocą.

### Buntowniczy kadet

Jarosław Dąbrowski urodził się w Żytomierzu 13 listopada 1834 roku, w okresie największego terroru rosyjskiego po powstaniu listopadowym. Jego rodzina, herbu Radwan, wywodziła się z Mazowsza, gdzie Dąbrowscy pełnili liczne godności ziemskie i urzędy. Jedna z gałęzi przeniosła się na ziemie ukraińskie.

Matką przyszłego generała była Zofia z Falkenhagenów, starej rodziny kurlandzkiej, w tym czasie już spolszczonej. Jej brat Piotr nosił już polskie nazwisko Zalewski. Uczestnik powstania listopadowego i emigrant był jednym z najwybitniejszych ekonomistów swych czasów. Ojciec Jarosława – Wiktor był już szlachcicem zubożałym, nie miał własnego majątku. Utrzymywał się ze służby w carskich urzędach. Daleki był od pragnień niepodległej Polski, a tym bardziej od zamiarów walki o nią. Jarek mocno był związany ze swym młodszym bratem Teofilem, który był jego wiernym towarzyszem do samej śmierci.

Chcąc zabezpieczyć synowi przyszłość, Wiktor Dąbrowski oddał dziewięcioletniego Jarka do korpusu kadetów w Brześciu Litewskim. Chłopiec stał się żołnierzem i musiał znosić trudy twardego, koszarowego życia i brutalnej surowości przełożonych. Powszednim chlebem kadetów była chłosta za najdrobniejsze przewinienia. Można było dostać nawet 400 różeg.

Kadetów w Brześciu wizytował car Mikołaj I. Rzucił mu się w oczy nieduży, dziarski żołnierz. Podniósł go do twarzy i zapytał o nazwisko. Jestem Dąbrowski, Polak – odpowiedział chłopiec. Car z dużą siłą rzucił chłopaka o ziemię tak, że ten zemdłał. Tego rodzaju traktowanie, brutalność i poniżenia musiały kształtować w młodych ludziach uczucie buntu i nienawiści do carskiego samodzierżawia. I te uczucia wykształcił w sobie Dąbrowski. Starał się jednak chłonąć wiedzę, wykładaną w szkole kadetów, zwłaszcza naukę języków, geografii, przyrodę, chemię, mechanikę i przedmioty wojskowe.

Ukończył Dąbrowski studia kadeckie w roku 1855 roku, dwa ostatnie lata spędził w tzw. „Pułku szlacheckim”, czyli w Kadeckiej Szkole Konstantynowskiej w Petersburgu. Otrzymał stopień chorążego i przydział do lekkiej baterii w 19. brygadzie artyleryjskiej, stacjonującej na Kaukazie. Przyszło mu tam walczyć z czerkieskimi partyzantami i wspomagającą ich ludnością znad rzeki Kubań. W walkach uzyskał order św. Stanisława za męstwo, awansował na porucznika. Charakteryzował go szacunek dla podwładnych żołnierzy, przeto był przez nich bardzo lubiany.



## Organizator powstania

Jako człowiek i żołnierz okrzepł, skryształowała się jego postawa: z zawadiaki i hulaki, który spędzał wolny czas na pijatykach, grze w karty i uwodzeniu kobiet, stał się człowiekiem poważnym, zaczął dużo czytać i przemyśliwać sprawy, związane z niepodległością Polski. Wojna z kaukaskimi góralami, chcącymi wolności dla swych krain, wydała mu się bezsensowną. Po długich staraniach wstąpił Dąbrowski pod koniec 1959 roku do Mikołajewskiej Akademii Sztabu Generalnego, w tym czasie jednej z najlepszych uczelni wojskowych w Europie. Młody oficer zetknął się tam z kręgiem polskich patriotów, skupionych wokół kapitana sztabu generalnego Zygmunta Sierakowskiego. Wkrótce porucznik Dąbrowski stał się duszą oficerskiego kręgu spiskowego, obejmującego również oficerów Akademii Artylerii i Akademii Inżynierii, został przewodniczącym koła i jako taki kontaktował się z innymi konspiratorami w Kijowie i Warszawie.

8 kwietnia 1861 roku na placu Zamkowym w Warszawie miała miejsce masakra demonstrującej ludności przez wojsko carskie, która rozbudziła ideę walki o wolność. Idee walki z samowładztwem carskim przenikały nawet do armii rosyjskiej i środowisk studenckich. Koło konspiratorów polskich w Petersburgu coraz bardziej planowało podjęcie walki zbrojnej i stało się czymś w rodzaju kuźni kard oficerskich dla przyszłego zrywu; drugą obok szkoły oficerskiej w Cuneo na ziemi włoskiej. Z petersburskiej „kuźni” wyszli, obok Dąbrowskiego – „Łokietka”, również Zygmunt Sierakowski – „Dołęga”, Ludwik Zwierzdowski – „Topór”, Władysław Mikołaj Ludwik Miniewski – „Mazur”, Józef Heidenreich – „Kruk” i inni powstańcy dowódcy. Dąbrowski się wśród nich wybijał, zwłaszcza zdolnościami taktycznymi i planowaniem walki. Utrzymywał kontakt w grupą „czerwonych”, czyli zwolennikami reform socjalnych, w tym uwłaszczenia chłopów.

Po ukończeniu Akademii sztabkapitan Dąbrowski w lutym przeniósł się do Warszawy, oficjalnie jako kwatermistrz 4. dywizji piechoty rosyjskiej. Zajął się przygotowaniami do walki zbrojnej, które ruszyły z miejsca. Współpracował ze Stanisławem Frankowskim i Ignacym Chmieleńskim – pchnęli wspólnie ruch narodowy na rewolucyjne tory. Chmieleński został później pułkownikiem, dowódcą jednego z powstańczych oddziałów w Małopolsce. W czasie bitwy pod Janowem zdobył furgon z pieniędzmi carskiej armii – o ogólnej wartości 1 200 tys. rubli w złocie. Zamierzał je ukryć w ruinach zamku w Ostrężniku, jednak wozy podczas przejazdu grzęzły w błocie. Walutę zakopał w lesie, w pobliżu leśniczówki Czerwonka. Rannego Chmieleńskiego, po przegranej bitwie pod Skalbmierzem 16 grudnia 1863 roku, pojmali Kozacy. 23 grudnia został w Radomiu rozstrzelany. Skarb nie został nigdy odnaleziony.

Łokietek stanął na czele spisku w Warszawie i został członkiem Komitetu Miejskiego oraz naczelnikiem miasta. Tymczasem zaczęły się aresztowania oficerów i innych konspiratorów, rozpoczęły się wywózki na Sybir. Naczelnik uznał, że powstanie należy przyspieszyć. Zaplanował najważniejsze akcje: zdobycie warszawskiej Cytadeli i Twierdzy Modlin, gdzie znajdowały się arsenały. Liczył na ich opanowanie dzięki znajdującym się tam oficerom - spiskowcom. Przewidywał zdobycie 70 tys. karabinów, które stałyby się podstawą uzbrojenia powstańczych oddziałów. Komitet Miejski zatwierdził jego plan. Łokietek miał dowodzić atakiem na Modlin.

Niestety, odezwały się nasze polskie cechy. Gadulstwo i zawiść. Część wtajemniczonych zdradziła plany Dąbrowskiego. Członkowie stronnictwa białych, kierowani przez Karola Majewskiego, zorganizowali zamach na Komitet Miejski, w obawie, że stanie się on przywódczym gremium samego powstania. Przy okazji



stopedowano plany przejścia twierdz i zdobycia broni. Za rokoszem z pewnością stał generał Ludwik Mierosławski, który chciał zostać przywódcą powstania, wszak Majewski był jego bliskim współpracownikiem. Rozpoczęły się polityczne i frakcyjne przepychanki, dotychczasowe przygotowania stały się parą, puszczoną w gwizdek. Utworzono Komitet Centralny Narodowy, w którym najpoważniejszą rolę odgrywał Agaton Giller. Łokietek zajął się stroną wojskową przygotowań i organizacją akcji terrorystycznej. Zorganizowano m.in. zamach na Aleksandra Wielopolskiego, miał go dokonać Ludwik Aleksander Ryll, dziewiętnastoletni niepiśmienny czeladnik drukarski. Niestety, w czasie wykonywania zamachu pistolet Rylla nie wypalił. Niedługo potem nieudany zamach na wielkorządcę przeprowadził Jan Rzońca. Zamachowcy zostali schwytani i skazani na śmierć.

Wkrótce potem 14 sierpnia 1862 roku Jarosław Dąbrowski został aresztowany i uwięziony w X pawilonie Cytadeli. Kto go wydał? Do dziś nie wiadomo. Są przypuszczenia, że carscy szpicle inwigilowali Pelagię Zgliczyńską, narzeczoną Łokietka, co ich do niego doprowadziło. Inna wersja mówi, że zdradził go Alf Wrześniowski, oficer, kolega Dąbrowskiego z czasów nauk w Petersburgu. Dość powiedzieć, że zaraz potem Wrześniowski został mianowany komendantem kwatery głównej rosyjskiego wielkiego księcia. Spiskowcom zabrakło przywódcy równego Dąbrowskiemu.

Powstanie jednak wybuchło – iskrą zapalną stała się słynna branka młodzieży, zorganizowana przez Aleksandra Wielopolskiego. Chciał on zapobiec wybuchowi zbrojnemu, a niechący go przyspieszył. Młodzi ludzie stanęli wobec widma wcielenia do armii i walki z wolnymi narodami o carskie interesy. Woleli uciec do lasu i tworzyć powstańcze oddziały.

Więziony w Cytadeli Łokietek, poddany śledztwu, bronił się długo. Wszystkiego się wypierał. Jednocześnie kontaktował się ze spiskowcami, a potem z powstańcami, poprzez odwiedzającą go narzeczoną Pelagię Zgliczyńską (w więzieniu wzięli ślub za zgodą komendanta Cytadeli), która przekazywała jego rady i wskazówki. Z początku śledczy nie zdołali ustalić jego uczestnictwa w spisku. Dopiero zeznania branych do niewoli oficerów, już w czasie powstania, obciążły go. Został skazany na 15 lat katorgi na Syberii. Aresztowano też i zesłano do Ardatowa w guberni niżegorodskiej jego żonę.

Zesłaniec pomaszerował na Sybir utartym szlakiem przez Moskwę, gdzie w grudniu 1864 roku zbiegł z więzienia etapowego. Zakrojona na szeroka skalę akcja poszukiwawcza, listy gończe, nagrody za schwytanie, nie przyniosła rezultatu. Dąbrowski skontaktował się z rosyjskimi rewolucjonistami, którzy mu pomogli, dostarczając fałszywe dokumenty na nazwisko carskiego pułkownika Rychtera. Przebywał dość długo w Moskwie, a potem w Petersburgu, uznając, że najciemniej jest pod latarnią.

Uczestniczył w pracach rosyjskich rewolucjonistów, jednocześnie czynił starania o uwolnienie żony, co mu się udało. Wydobył jeszcze z więzień kilku dawnych towarzyszy broni, a potem wraz z żoną wyjechali. Najpierw do Sztokholmu, potem Kopenhagi, by wreszcie znaleźć się w Paryżu.

Przez pewien czas uciekinier działał w kręgach tzw. drugiej emigracji, uczestniczył w tworzeniu Komitetu Reprezentacyjnego, którego celem było umiędzynarodowienie sprawy polskiej. Współpracował w tym z innym emigrantem Walerym Wróblewskim, jednym z dawnych dowódców powstańczych oddziałów. W okresie wojny francusko-pruskiej w 1870 roku obaj oficerowie wstąpili do francuskiego wojska. Obaj znaleźli się w paryskiej Gwardii Narodowej, broniącej stolicy przed Prusakami.

Po klęsce Francji i zawarciu przez rząd Adolfa Thiersa upokarzającego pokoju, mieszkańcy Paryża nie chcieli się nań zgodzić. Obwołali Francję republiką, w Paryżu powstała władza społeczeństwa, nazwana Komuną Paryską, Niebawem Komuna musiała bronić stolicy przed własnym rządem. W końcowej fazie walk obaj polscy oficerowie zostali mianowani generałami i dowódcami odcinków obrony, zaraz potem Dąbrowskiego mianowano dowódcą wojsk Komuny. Dowodził jednocześnie obroną północnozachodniej części Paryża. 23 maja 1872 roku podczas krwawych walk na barykadzie przy ulicy Myrha został ciężko ranny. Przewieziony do szpitala, zmarł tego samego dnia. Pięć dni później Paryż upadł, rozpoczęły się aresztowania i rozstrzelania obrońców.

Stefan Żagiel